

1

TRZECI ŚWIAT

Wszystko, co na mapie, jest w zasięgu ręki...

Andrzej Śmiały

W pierwszych dniach ostatniego roku starego tysiąclecia, snuliśmy się z Tomkiem Schrammem po ulicach Santiago de Chile. Zew włóczęgi, która przez miesiąc decydowała o rytmie dnia naszej dwójki, wygonił nas wcześniej z hotelowych łóżek. W tym akcie pewną rolę, aczkolwiek drugorzędną, odgrywały też ciekawość i chęć wzięcia udziału w rytuale codziennego życia stolicy najbardziej „europejskiego państwa w Ameryce Południowej”. Jednak głównym celem był pobyt wśród ludzi. Potrzeba socjalizacji, a przy tym odczucie ulgi po dramatycznych wydarzeniach ostatniego tygodnia, były bezwarunkowe i podświadome. Chłonęliśmy beztrzęsą radość mieszkańców stolicy Chile, delektowaliśmy się odprężeniem psychicznym i fizycznym. Oprócz relaksu mieliśmy wszelako jeszcze inny cel na horyzoncie – siedzibę Societe de Andinismo.

W tym kierunku zdążaliśmy, uparcie krążąc po ulicach miasta, prowadzeni często sprzecznymi i mylnymi wskazówkami przechodniów. Człowiek spytany o drogę jest w tym momencie ważny, dowartościowany. Stał się na te kilka minut przewodnikiem pytającego, swoistym cicerem, wyrocznią, może nawet nikt bez walki nie odda tych swoich kilku minut władzy i decyzji. W wielu więc wypadkach traciliśmy nie tylko czas, ale i energię, prowadzeni informacjami, które wiodły donikąd.



W gruncie rzeczy tylko dla porządku postanowiliśmy zaglądnąć do biura miejscowego Klubu Andyjskiego, nie było więc w naszych poszukiwaniach determinacji. Zupełnie inaczej było bez mała miesiąc temu, gdy angażując wszystkie przyrodzone i nadprzyrodzone siły, szukaliśmy Instituto de Geografica Militar w celu zaopatrzenia się w topograficzne mapy Patagonii. Tym razem jednak na luzie i bez presji czasu zdążaliśmy krętą drogą do ukrytego w zaułkach miasta biura. Gdy znasz swój cel, prędzej czy później do niego trafisz; świadomość celu jest gwarancją jego osiągnięcia. Tak więc w końcu zastukaliśmy do właściwych drzwi.

W słabo oświetlonym, niewielkim pomieszczeniu, pochylony nad stołem z dokumentami, siedział mocno dojrzały mężczyzna i przeglądał księgi rachunkowe. Zdezorientował nas ten widok, spodziewaliśmy się raczej map albo przynajmniej zdjęć z górskich wypraw, więc Tomasz Schramm – mój przyjaciel i niezawodny kompan w tej dwuosobowej wyprawie – dla pewności spytał:

– *Buenos dias, czy trafiliśmy do Klubu Andyjskiego?*

Gospodarz obrzucił nas zaciekawionym spojrzeniem, bo zdanie zostało wypowiedziane w większości po angielsku.

– *Si señor... W czym mogę pomóc?* – spytał mężczyzna i powrócił do wertowania dokumentów.

Tomek odchrząknął i odczekał moment, zanim odpowiedział.

– *Chcieliśmy zgłosić wejście na Monte San Valentin i przejście w poprzek Campo Norte¹ z zejściem nową drogą na wschód...*

Księgowy nawet nie podniósł głowy znad papierów – *si, si... w ile osób?*

– *Dwie* – odpowiedziałem.

Mężczyzna przerwał swoją pracę i spojrzał na nas znad okularów.

– *Co? Dos? Chcecie to zrobić w dwie osoby?* – zapytał. Po czym poprawił się w krześle, zaplótł ręce za głowę i się uśmiechnął. Był to uśmiech jakim przytakuje się dziecku, gdy informuje, że właśnie wybiera się na

¹ Campo Norte – skrócona nazwa od Campo de Hielo Patagonico Norte lub Campo de Hielo Norte albo Northern Patagonian Icefield (Północne Patagońskie Pole Lodowe), w treści często zastępowane nazwami krótszymi jak: Campo, Hielo lub lądolód, płaskowyż, itp.

księżyc swoim rowerkiem na trzech kółkach. Miał on znaczyć, że nasz rozmówca wie, co mówi – w przeciwieństwie do nas, nieświadomych rzeczy gringos. – *We dwóch to nie-mo-żli-we!!!* – dodał, dzieląc słowa, żeby nadać wagi swojej informacji i być dobrze zrozumianym.

– *My nie chcemy tego zrobić... Już nie... My to już zrobiliśmy...* Gdy to uświadomiłem naszemu rozmówcy, poczułem żar koło serca... Gospodarz pochylił się ku nam zaskoczony i wykrztusił bez wiary.

– *To niemożliwe!!!* – zdjął okulary i przyjrzał się nam uważnie. Po chwili spytał: – *A skąd jesteście?*

– *Z Polski...*

– *Aaa... z Polski... No to... możliwe... Dos Polacos in action... Gratuluję... Big deal...*

Polskie pochodzenie było dla księgowego wystarczającym dowodem prawdy. Widocznie, w jego opinii, szaleństwo lub też sposoby na urealnienie rzeczy niemożliwych nasz naród miał wpisane w osobowość.

Zaraz też wstał z za stołu i przedstawił się, nazwisko niestety uleciało mi z pamięci. Dowiedzieliśmy się też, że jest koordynatorem andynizmu członków miejscowego klubu. Chwilę jeszcze rozmawialiśmy; księgowy zapisał nasze dane, spytał o warunki na trasie i czas przejścia. Na koniec serdecznie uściśnął nam dłonie i jeszcze raz powtórzył – *Big deal*. Potem poszliśmy po schodach, na górę, do klubowej świetlicy. Znów pytano nas o warunki na trasie, a my pytaliśmy o historię zdobycia San Valentina. Niestety, bezskutecznie. Na końcu wyszliśmy na miasto, uwolnieni od ciężaru przeżyć ostatniego miesiąca. Jak po spowiedzi. Te dwa słowa koordynatora, niczym rozgrzeszenie, załatwiły wszystko.

Big deal. Wielka rzecz, wielka sprawa i... po sprawie.. Było, minęło. Jak w powiedzeniu, że „*wszystko jest pyłem na wietrze*”...

Obiektywnie to prawda. Liczy się to, co dzieje się teraz. Kogo mogło interesować, że niektóre momenty tej wyprawy będą mnie dręczyć w snach jeszcze przez kilka lat? Że wyprawa będzie we mnie trwała jeszcze długo, jak niewyleczona choroba.

Minęło trochę czasu, zanim nabrałem do tamtych wydarzeń trzeźwego dystansu. Odeszły emocje, przyszło opamiętanie i zrozumienie. Campo przestało mnie straszyć. Wszystkie doświadczenia stały się źródłem nauki i niczym ponadto. Długo to trwało. Aż wreszcie poczułem potrzebę opisania tego, co nam się przydarzyło na Hielo Patagonico Norte.

Chciałbym tu podziękować Tomaszowi Schrammowi za umożliwienie skorzystania z jego zapisków z wyprawy i za słowa zachęty, bez których ten proces trwałby znacznie dłużej – jeśli w ogóle ujrzał by swój koniec.



Była wiosna 1997 roku. Siedzieliśmy z Tomkiem na pulkach² przed czołem lodowca Samarínbreen na Spitsbergenie. Mój partner od sań jest szanowanym profesorem historii na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Lubi sytuacje jasne i wyraźne, dlatego dziwi mnie, że pasjonuje go historia. Jest też członkiem The Explorer's Club i zapalonym polarnikiem – to z kolei dziwi historyków.

Siedząc na saniach, odpoczywaliśmy po zjeździe z lodowego uskoku, jakim obrywał się do zamrożonego morza lodowiec Samarín. Kończyła się nasza spitsbergeńska wędrówka. Byliśmy zmęczeni, niedożywieni i wychłodzeni dwumiesięczną przygodą w Arktyce. Z braku innych możliwości, karmiliśmy wyobraźnię opowieściami o bankietach jakie urządzimy w domu po powrocie i grzaliśmy się planami wyprawy do ciepłych krajów. W czasie rozmowy, któryś z nas bowiem zażartował, że fajnie by było kiedyś z nartami tak jakoś bliżej równika powędrować. Że egzotycznie, nieco cieplej i bogactwo świata zwierzęcego. Zaproponowałem Hielo Patagonico Norte w Chile, najbliżej równika położony płaskowyż lodowy na Ziemi.

Południowy Łądolód Patagoński w owym czasie doczekał się wreszcie pierwszego południkowego przejścia z północy na południe i w specjalistycznej prasie były o tym fakcie świeże doniesienia. Po-

² Polarne sanki pociągowe.

dobno na mapach tych terenów (jak też sąsiedniego Północnego Łądolodu) znajdowały się jeszcze białe plamy...

Eksploracyjne problemy rejonu Patagonii odżyły na nowo w kręgach alpinistyczno-polarnych; to mogło być to. Tak... Mniejsze powierzchniowo, ale tak samo trudne pod względem badawczym – Północne Pole Lodowe, czyli właśnie Hielo Patagonico Norte... Na początek... Trudna, długa wyrypa, obiecująca konkretny wyczynowy sukces w razie powodzenia... A w razie niepowodzenia? *No, wiesz, trzeba się dobrze ubezpieczyć...* – powiedział Tomek.

Dwa lata po rozmowie, nadarzyła się okazja, żeby pomysł, napędce i trochę dla zabicia czasu poruszony, wcielić w życie. Tomek wrócił z Paryża po serii wykładów, które dały mu oprócz satysfakcji zawodowej i prestiżowego wpisu do profesorskiego CV, trochę grosza. Gdy ma się sporo środków, nadszperowanie więcej niż zwykle, nachodzą człowieka zagrzebane kiedyś marzenia, odłożone na ekonomicznie lepszy czas. A ten właśnie nadszedł. W jednej linii startowej obok pomysłu i ludzi, pojawiły się finanse.

Tomek powiedział tak:

– *Andrzeju, to twój pomysł, przygotuj wszystko co trzeba, całą logistykę, a ja, skoro tak się miło składa, że mam finansową nadwyżkę, wezmę na siebie ekonomiczną stronę realizacji projektu...*

Pomysł to jedno a jego realizacja to jakby zupełnie coś innego. Jeśli pomysł wyzwała entuzjazm i ciepłe emocje, to szczegółowo układana logistyka powoli je studzi. W każdym razie, nie wchodząc w zdradliwe szczegóły, ustaliliśmy, że spróbujemy przejść Hielo albo z Laguny San Rafael na zachodzie, w kierunku doliny rzeki Rio Leones na wschodzie, albo z doliny tejże Rio Leones w stronę Laguny San Rafael. O tym fragmencie logistyki miały zdecydować miejscowe realia.

Gdy się siedzi nad mapą w wygodnym fotelu, najbardziej zwariowane cele wydają się być w zasięgu ręki, więc lekuchno dorzuciliśmy do trawersu łądolodu, pierwsze polskie wejście na najwyższy szczyt Patagonii, Monte San Valentin (4058 m n.p.m.). A co, przecież to po drodze...

Decydując się na start z Laguna San Rafael, należało liczyć się z koniecznością wytyczenia nowej drogi zejściowej z płaskowyżu na wschód, do jakiejś dzikiej doliny. Nieznanym terenem, przez białe plamy na mapach. Ta świadomość w równym stopniu nas ekscytowała, jak i, powiedzmy sobie szczerze, przerażała. Na uspokojenie pulsu mieliśmy wszakże plan awaryjny – powrót po własnych śladach do Laguny San Rafael. Oczywiście, wyłącznie wtedy, gdyby zejście do nieznannej doliny okazało się z jakichś powodów niewykonalne – niebezpieczny uskok lodowy, wypadek, strata sprzętu lub żywności albo długotrwałe załamanie pogody. W tym ostatnim przypadku moglibyśmy zostać unieruchomieni na bardzo, bardzo, baardzo długi czas...

Trzeba bowiem wiedzieć o tym, że o górach Patagonii mówi się, że są stworzone dla masochistów. W dodatku dysponujących nieograniczoną ilością wolnego czasu. W żaden sposób nie mogliśmy do siebie odnieść tych wymogów, a to stwarzało powody do obaw. Ale Tomek rozwiązał rodzące się wątpliwości o szczęśliwym powrocie zapowiedzią, że na ewentualność długiego załamania pogody weźmie grubą książkę do czytania i karty do gry.

Wejście na Hielo de Campo Norte od wschodu, od rzeki i jeziora Leones było już rozpoznane. Na łądolód dostali się tą drogą m.in. wspinacze z Nowej Zelandii i Chile. Ich szkicem dysponowaliśmy. Pozostało „tylko” pokonać jezioro.

Każdy argument odsuwający na dalszy plan zwątpienie jest dobry. Umówiliśmy się, że będziemy bardzo uważać, pilnować jeden drugiego, bo jeden z Hielo raczej nie wróci. Nie będziemy się spieszyć ponad rozsądek i weźmiemy dużo żywności.

Dowiedzieliśmy się także, że dotychczasowe wyprawy na łądolód, były znacznie bardziej liczne niż nasza (przynajmniej pięć osób), co było spowodowane nie tylko trudnościami klimatyczno-terenowymi, ale także potrzebami transportu dużej liczby sprzętu, żywności i paliwa.

Podobnie jak pierwsze ekspedycje na nierozpoznane Hielo Norte, planowaliśmy w czasie przejścia lodowca wykonanie szkiców topograficznych dla celów kartograficznych. A więc coś, co pewnym

kręgom pozwalało zrozumieć sens wycieczki, a nas wypełniało poczuciem dużej wagi przedsięwzięcia. Nie wiem, czy byliśmy bardziej szczęśliwi na etapie planowania, tkwiąc wciąż w bezpiecznych marzeniach i adrenalinie przygotowań, czy w czasie realizacji wyprawy. Trudno jest, jak do tej pory, zmierzyć wielkość euforii matematycznie.

Czas trwania i długość trasy przejścia uzgodniliśmy w jednostce czasoprzestrzennej na dwadzieścia pięć dni i czterdzieści kilometrów. Taki szacunek wziął się z bardzo ostrożnych założeń, że będziemy wydzierać z patagońskiej przestrzeni od pięciuset metrów do pięciu kilometrów dziennie. Wliczyliśmy w ten czas nieuchronne „kible”, czyli przymusowe biwaki ze względów pogodowych. Na Hielo szaleje bowiem często huraganowy wiatr o prędkościach znacznie przekraczających 200 km/h, co wydaje się być naturalne ze względu na usytuowanie łądolodu na granicy wpływów mas powietrza znad Atlantyku i Oceanu nazywanego nie wiedzieć czemu Spokojnym³.

W liofilizowaną żywność oraz część sprzętu transportowo-noclegowego zaopatrzyliśmy się w Dreźnie, w sklepie Globtrotter Ausrüstung, najbliższej Rzeszowa położonym w Europie prawdziwym sklepie sportowo-turystycznym. Namiot sprowadziliśmy z Norwegii, przyszedł pocztą do Urzędu Celnego w Przemyślu. Celnik długo kiwał głową nad problemem; zastanawiał się, czy dołożyć nam jeszcze pięćset złotych cła do wartości namiotu (dwa tysiące złotych!) czy znaleźć jakieś oficjalne obejście tego kanibalizmu w imię prawa.

Był to dobry chłop, rozumiejący problemy polskiej amatorskiej turystyki wyczynowej, i chciał nam pomóc. Dumął, dumął i wydumął. Serdecznie mu za to dziękujemy. Co zaś się tyczy reszty sprzętu, to narty i plecaki pozostały ze spitsbergeńskiego demobilu, pulki z przejścia Ładogi, część odzieży dokupiliśmy, a szpej⁴ wspinaczkowo-

³ Ocean Spokojny, Pacyfik (hiszp. *pacífico* – spokojny), zwany też Wielkim, jest największym oceanem na Ziemi o powierzchni blisko 180 mln km². Nazwę zawdzięcza Ferdynardowi Magellanowi, który po pokonaniu burzliwej cieśniny łączącej Atlantyk z Pacyfikiem (nazwanej odtąd Cieśniną Magellana) wpłynął na spokojne wody oceanu. W istocie nazwa ta budzi zdziwienie niejednego żeglarza, wzięwszy pod uwagę, że ocean jest nękany przez liczne tajfuny i huragany, a także podwodne trzęsienia ziemi, które wywołują niszczycielskie fale tsunami.

⁴ Szpej (slang) – sprzęt.

wy był w domu od zawsze, sukcesywnie unowocześniany. Pozostało tylko to wszystko spakować.

W tym celu spotkaliśmy się z Tomkiem u mnie w mieszkaniu, gdzie przez cały dzień, do dwóch plecaków o pojemności sześćdziesięciu litrów każdy, próbowaliśmy upchać:

- 50 porcji żywności – śniadaniowej, obiadowej i szturmowej,
- kuchenkę benzynową MSR EXP II,
- 2 metalowe pojemniki na paliwo o pojemności 1 l (puste – do napełnienia w Chile),
- kociołek aluminiowy o pojemności 3 l – do topienia śniegu i gotowania wody,
- 2 termosy na zupę o pojemności 1,5 l,
- 2 termosy na herbatę o pojemności 1,5l,
- 2 kubki i sztućce,
- 2 komplety odzieży na czas akcji – wierzchniej, termicznej i bielizny termoaktywnej,
- 2 kurtki ocieplane, czapki i rękawice,
- 2 komplety butów trekkingowych,
- 2 komplety podwójnych butów zimowych do wspinaczki lodowej,
- 2 komplety butów narciarskich,
- 2 śpiwory,
- 2 nadmuchiwane materace (to był błąd, o czym się przekonamy w czasie wyprawy),
- 2 pontony o długości 1 m, które miały służyć jako awaryjne materace, a przede wszystkim jako tratwy do pokonania jeziora i rwących rzek, plus składane wiosło,
- łopata do śniegu, która miała pełnić dodatkowo rolę drugiego wiosła,
- 1 torba wodoszczelna o pojemności 40 l,
- sprzęt do wspinaczki skalno-lodowej (lina pojedyncza 45 m, 2 komplety raków, 5 śrub lodowych, 2 haki skalne, 2 komplety czekanów i czekanomłotków, 2 uprząże, 4 pętle i 7 karabinków; kasków nie braliśmy),

- 2 pary gogli,
- 2 aparaty fotograficzne, 30 sztuk filmów – negatywy i diapozytywy,
- wodoszczelny mapnik, notes,
- GPS, 2 kompasy, przyrządy kreślarskie,
- spory zapas baterii alkalicznych,
- rozmówki polsko-hiszpańskie, przewodnik turystyczny i mapy przeglądowe Chile (topograficzne planowaliśmy zdobyć w Santiago),
- 2 lampki czołówki,
- 2 komplety przyborów i środków czystości (bez papieru toaletowego; ten mieliśmy kupić na miejscu),
- 2 komplety kosmetyków (kremy i wazelina) i lekarstwa (głównie aspiryna i coś na biegunkę, plus opatrunki, woda utleniona i taśma samoprzylepna),
- zestaw survivalowy w wodoszczelnym pudełku o wymiarach 12x10x5 cm (zapalki sztormowe, zapalki zwykłe, igła, nici, guziki, żyłka wędkarska z haczykami, długi skalpel, piłka do metalu i drewna, kompas, tabletki do uzdatniania wody, tabliczka czekolady, antybiotyk),
- namiot i 2 płachty izolacyjne NRC,
- 2 pary nart z fokami i 2 pary kijków; wszystko razem spakowane w 1 pokrowcu,
- 2 pulki.

Niestety, nie udało się. Rzecz oczywista, gdy usiłuje się do pojemników o określonych gabarytach zmieścić towar o pojemności od nich w sumie większej.

Wtedy postanowiliśmy wykorzystać zalety ładunkowe sanek i wypełnić je tym wszystkim, czego nawet z pomocą kolan nie udało się już zmieścić w plecakach.

W pulkach więc, okryte ortalionem i zabezpieczone pętlami z pancernymi węzłami (do których rozwiązania konieczny był ostry nóż...), miały zostać dotransportowane do miejsca przeznaczenia:

materace dmuchane, pontony, buty narciarskie i zimowe buty wspinaczkowe, tzw. skorupy, oraz ciepłe, a objętościowo spore – kurtki ochronne.

Pomysł był ryzykowny, lecz uspokajaliśmy się przekonaniem, że gdyby nawet, skutek złośliwości losu, zawartość pulek zaginęła po drodze, niedostatek sprzętu nadrobimy zaradnością, która to cecha w narodzie polskim jest przecież powszechna. W chwili próby zaczerpnijemy ile trzeba z plemiennej mądrości i – damy radę!

A na serio – ani przez chwilę nie przeszło nam przez myśl, że cokolwiek mogłoby zginąć z bagażu. Bo inaczej – byłoby kiepsko...



17 listopada 1999 roku przyjechaliśmy do stolicy; Tomek z Poznania a ja z Rzeszowa. W Warszawie na Okęciu, nasze drogi połączyły się w jeden wspólny szlak na około dwa miesiące. Obaj, prócz wyładowanych pulek, plecaków transportowych i nart, za plecami, jak gdyby nigdy nic, ukrywaliśmy małe plecaczki – bagaż podręczny. W tych, niewinnie wyglądających woreczkach, znajdował się środek, lub lepiej, punkt ciężkości naszej wyprawy. Każdy z plecaków ważył około 15 kilogramów i był wypełniony wszelakim sprzętowym żelastwem, dla nas równie ważnym jak żywność. W przeciwieństwie jednak do sproszkowanych liofilizatów, sprzęt źle znosi przeładunek na lotniskach, który, jak wszyscy wiemy, polega głównie na rzucaniu. Należało więc go chronić. Zdecydowani byliśmy nawet plecaków bronić, gdyby było trzeba. Zwłaszcza przed wagą odprawy bagażowej.

Nasz sposób ochrony polegał głównie na ich ukryciu przed uwagą otoczenia. Mieliśmy różne pomysły – ja usiłowałem beztrąsko swoim machać jak gazetą (że niby taki lekki był), co o mało nie spowodowało zerwania ścięgien w nadgarstku, zaś Tomek po prostu ubrał swój na plecy, a na niego kurtkę. Rzeczywiście, bagaż zniknął z pola widzenia od razu. Był to sposób znakomity, godny polecenia. Jed-



Tomek i pulki na Okęciu

nak, nie wiedzieć czemu, Tomek zaczął od tego momentu zwracać na siebie uwagę bardziej niż poprzednio...

Przy odprawie bagażowej, uwagę stewardessy zwróciły tylko sanki, znacznie odbiegające wyglądem od standardowej walizki, ale że mieściły się w wadze, przeszły. Podobnie plecaki. Dopłaciliśmy tylko za przelot nart. Natomiast kształty Tomka pani obrzuciła obojętnym spojrzeniem; widocznie była już świadkiem niejednej deformacji ludzkiej sylwetki.

Zapakowano nas do samolociku, wielkości przegubowca linii miejskich, który zgrabnie przerzucił pasażerów do Amsterdamu. Tu mieliśmy przystanek – parę godzin przerwy na przygotowanie się do kilkunastogodzinnego lotu do Buenos Aires.



Holendrzy to zapobiegliwy naród, który swoje wie, o swoje potrafi zadbać, wzór do naśladowania. Ale u nas mówi się o nich, że to Szkoci wypędzeni z kraju za skąpstwo. Mnie to na przykład dziwi, albowiem nie znam ani jednego Szkota, który miałby węża w kieszeni. Ale do rzeczy – takie powiedzenie to wynik zazdrości, nic poza tym. Naród holenderski posiada wyraźną wizję wspólnego działania, podczas gdy ta u nas jawi się tylko w momencie ogólnego zagrożenia. Gdy go nie ma – błądzimy, poruszając się w kierunku, mniej więcej – kolejnej zapaści. Lub kolejnego zagrożenia.

W Amsterdamie, niedaleko głównego kanału, przy którym dopięte do barierki czekają na właścicieli setki rowerów (drugie tyle leży po drugiej stronie poręczy – na dnie kanału, pod wodą), znajduje się restauracja, gdzie serwują wyśmienite potrawy kuchni chińskiej. Smaczne i obfite porcje, tanie i elegancko podane, zupełnie nieprzystające do wspomnianego wyżej stereotypu. Właściciel jest Holendrem.

Gdy już uporaliśmy się z półmiskiem (ze względu na rozmiary trafniej byłoby użyć określenia: półmichem), ruszyliśmy obejrzeć miejscowe atrakcje, to znaczy kanały i przegładające się w nich stare, malownicze domy. Amsterdam leży nad Morzem Północnym, więc atrybuty portowego miasta można obejrzeć w tzw. Czerwonej Dzielnicy.

Panienki z różnych stron świata prezentują swoje wdzięki na wystawach, powiedzmy sklepowych, bo też i owe wdzięki można tu zakupić. Jeśli oglądający nie jest dostatecznie zdecydowany, towar zostanie mu przedstawiony bezpośrednio i osobiście, co może być również sprawdzone organoleptycznie. Podobno marynarze, wizytujący te miejsca po długim rejsie, nie mają takich problemów.

Kilka przyjemnych godzin szybko minęło, nadszedł czas wielkiej próby. Mieliśmy się bowiem zmierzyć z przestrzenią powietrzną (ponad jedenaście tysięcy kilometrów) skosem przez Atlantycką, za pomocą czterdziestotonowego potwora, którego gatunkowa nazwa brzmi Boeing 747. Każda najmniejsza jego częśćka (a jest ich wszystkich 6 mln) jest znacznie cięższa od powietrza, a mimo tego lata! Zawsze

jest mi trudno w to uwierzyć. Co innego taki, weźmy, ptak. Jedno jego piórko waży tyle co nic, długo tańczy w powietrzu, zanim z gracją i bezgłośnie siądzie na ziemi. Za to lot najmniejszej choćby śrubki to po prostu... upadek. A jednak ta ogromniasta kupa żelastwa unosi się w powietrzu. Po prostu magia.

Zanim jednak weszliśmy w głąb potwora, numer Tomka z bagażem podręcznym na plecach nie przeszedł. U wejścia do samolotu plecak został zdjęty i powędrował do luku. Przy tej okazji warto podkreślić, że mimo tej chwilowej straty, udało nam się wnieść na pokład: 2 czekany (!), 2 pary raków (!), kilka haków i śrub wspinaczkowych! Nieprawdopodobne.

W czasie piętnastogodzinnego lotu do Buenos i jeszcze dwu do Santiago, nie wydarzyło się nic szczególnego. Samolot, szybko jak na swoje rozmiary, osiągnął wysokość przelotową i bez najmniejszych drgań pruł przez stratosferę. Głęboką nocą przebrnęliśmy nad równikiem, ale nikt nas nie budził ze snu z tego powodu. Nie strzelił korek szampana, nie odprawiono żadnych obrzędów. A był to przecież moment magiczny – przekraczaliśmy linię, poza którą ludzie chodzą do góry nogami. Z naszego, północnopółkulowego punktu widzenia.



Wylądowaliśmy w Buenos Aires trochę zamroczeni, jak to po locie w międzykontynentalnym, powietrznym potworze i w pewnym sensie najedzeni... strachu (wiadomo: lecieliśmy jedenaście tysięcy metrów nad oceanem). Tomek, człowiek obyty z niejednym pobytym nad ziemią, nie wydawał się przejęty tym faktem (ja i owszem), więc w czasie lotu ze smakiem zjadł w porach posiłku co następuje: kolacja – duszona wołowina, puré ziemniaczane, marchewka gotowana, czerwone wino, a potem koniak i cointreau. Śniadanie: gofr z dwoma dżemami o różnych smakach, bułeczki z dżemem, herbata, owoce, piwo z orzeszkami. Lunch: malutka zapiekanka, talerz wędlinowo-serowy, pieczywo, masło, czerwone wino, kawa. Drugi lunch: zapie-

kanka omlętowa, talerz wędlinowy, sałatka ziemniaczana, białe wino, pudding z kremem, kawa, whisky. Ja jadłem uprzednio zamówione dania wegetariańskie. Nawet smaczne, niestety nie pamiętam, co to było.

W sali tranzytowej niedużego portu lotniczego czekaliśmy około godziny, a potem poleciliśmy na zachód. Przelecieliśmy nad Andami, które wyglądały trochę jak zmrożone w grudniu orne pole. Śniegu na górach – skibach było mało, zaś w oddali, z boku kursu, widać było chyba ich kulminację – Aconcaguę (?). Po dwóch godzinach kontemplacji dziecinnie małych, ale rozległych Andów, wylądowaliśmy w Santiago o godzinie czternastej czasu miejscowego. Czyli o pięć godzin wcześniej w stosunku do czasu w Europie.



Widok z samolotu na Andy, Aconcagua z prawej strony